

GŁOS LITERACKI

75 GROSZY.

Rok 1.

WARSZAWA, 1—15 czerwca

R. 1928

NARCYZY POEZJI POLSKIEJ

O IDEE SPOŁECZNE W POEZJI

ROZMOWA Z ANDRZEJEM STRUGIEM

„...upajanie się dźwiękiem i rytmem idzie zwykle z upadkiem poezji... Słowo to narzędzie. Nudne jest, gdy ktoś ciągle pokazuje swe narzędzie i nie przystępuje do roboty... ale my pragniemy widzieć jakim kapitałem myśli i uczuć rozporządza przedsiębiorstwo tak barwnie reklamowane”.

Antoni Słomiński.

Wraz z każdorazową głębszą zmianą w ogólnym układzie sił społecznych i politycznych znaczą się na przełomach epok coraz wyraźniej, coraz dalej idące zmiany w wyrazie kulturalnym młodych pokoleń, którym los przeznaczył dojrzewać i dorastać w tych nowych dziejowych warunkach. Jednostki, które z czujną wrażliwością umysłu łączą twórczą energię i umiejętność, chłona w siebie tę nową rzeczywistość, przepajają się duchem swej współczesności, której stają się najwyższym wyrazem, wcieleniem jej dążeń i tęsknot. Wielcy twórcy, artyści, bojownicy czy kaznodzieje, zawsze stają się symbolami swej epoki, oni stanowią najsłabsze jej znamię. Wystarczy powiedzieć magiczne słowa: Homer, Dante, Da Vinci, lub Balzac, Ibsen, Whittman — by na stokrrotnie przyspieszonym filmie dziejów przemknęły epoki, w których ci ludzie żyli i działali. Zapewne wystarczy kiedyś powiedzieć krótkie słowa: Shaw, Proust, Joyce — by w świadomości czyjejś straszyc zaczął koszmar naszych czasów. To — na pograniczu epok pojawiające się, o bezgranicznej pojemności zwierciadlane duchy, w których odbija się wiernie lub karykaturalnie współczesna im rzeczywistość; rzeczywistość ta ustępuje potem innej, nowej rzeczywistości — lecz w duchu ich i artystymie, w ich słowie i czynie odbita i utrwala żyje w świadomości naszej. Ich to wielkością mierzy się wielkość i doniosłość epoki.

Polska tragedia porozbiorowa znalazła najsłabsze wyraz poetycki w twórczości wieszczów. Dalszy etap ducha i wyraz narodowej tęsknoty stanowiła twórczość Wyspiańskiego i Brzozowskiego, a wśród ogólnych społecznych konfliktów kształtującą się nową polską rzeczywistość osierocił niedawno Żeromski, testament swój przekazując nam w „Przedwiośnie”. Układając więc dziś bilans dorobku poetyckiego ostatnich dziesięciu lat, zadać sobie musimy pytanie: — jakie echo i jaki trwały wyraz artystyczny znalazły w młodej poezji polskiej taki kataklizm, jak wojna światowa, taki zwrot historyczny w dziejach narodu, jak odzyskanie niepodległości państwowości, taki niebawmy, krwią nabiegły spłot konfliktów społeczno-kulturalnych, w których wyla się ludzkość współczesna? — Nad stojącą wodą „Skamandra”, który ex officio polską poezję reprezentuje, przeszła ta burza nieledwie że bez śladu i echa.

Zdawałoby się, że zaborcza i rewolucyjna grupa poetycka, której szczęśliwym udziałem było wystąpić w r. 1918, na progu wielkich wydarzeń w Europie, powołana będzie, by stać się w swej ojczyźnie orędowniczką nowych haseł, jakiejś własnej niesfałszowanej wiary, głoszonej w porywającym słowie poetyckim; że nazwisko choć jednego z nich stanie się symbolem i naczelnym wyrazem tych walk i pragnień, które coraz głębiej nurtują życie współczesne. Zamiast tedy poetyckie swe zadania odmierzając na daleką ludzką metę, zamiast w grupie lub indywidualnie męskie zajmując stanowisko wobec nie dających się przeoczyć zagadnień życia, wykonano obowiązkowy dyg w stronę „odrodzonego państwa” i salwując się puścią dylektantką „odkrywania głębi na powierzchni życia”, stoczono pamiętną kampanię o... poetycką bezprogramowość. Sądźmy, że jej pierwotni wyznawcy powtórnie nie zaryzykowaliby dziś takiej kampanii, choć przy swoim braku ideowej posta-

wy wobec życia, przy braku jakiegokolwiek kierowniczego prawdy wewnętrznej, w ciągu tych dziesięciu hucznych i buńczucznych lat wiernie naogół wytrwali. Bo jeśli może taką prawdę „osobistą” i pocichu posiadają, to na podstawie psychologii tworzenia wnioskowaćby można, że w ich myślach i uczuciach zajmuje ona nie więcej miejsca, niż w dziełach...

Poezja Skamandrytów bywa niekiedy określaną jako poezja odrodzonej Polski — lecz chyba nie z ducha, tylko gdy o chronologię chodzi... Bo i skądże ten tytuł? Gdzie są te tomy, te poszczególne utwory, które powstać mogły tylko dzięki odzyskanej niepodległości, dla których niepodległość ta musiała być uprzednim, doniosłym warunkiem? Zapewne — znajdzie się kilka wierszy tematowo związanych z tą lub ową postacią czy wypadkiem, jest to jednak związek tak zewnętrzny, przypadkowy i sporadyczny, że nie nadaje i nadać nie może charakteru całokształtowi twórczości; wiersze zaś o winoście i winie lub czyhaniu na bogów mogły równie dobrze powstać na długo przed wskrzeszeniem państwa, gdy pokrewna tym rodzajom poezja pieniała się już na wszystkich poetyckich rynkach. — Polskę prawdziwie odrodzoną, Polskę, która byłaby wzorem wolności dla ludów, zwiastował Mickiewicz; Polska dopiero zmuśnię odradza się dziś w rosnącej samoświadomości rzesz robotniczych i w twórczości tych poetów, którzy tęsknotą tych rzesz oddychając — lecz szlachetnej wolnościowej tradycji poezji romantycznej nie podjął „Skamander”. Żywa reakcja serca i umysłu na wydarzenia historycznych dni zduszone zostały programową nijakością. Wobec społecznych, politycznych i tem samem kulturalnych fenomenów, wywalczanych gigantycznym wysiłkiem naszego wieku, poezja „Skamandra” była i pozostała niema, — nawet wobec najbliższej dotychczasowej rzeczywistości.

W bezdusznym uwielbieniu słowa jako dźwięku, wyabstrahowanego z ideowej treści, błąka się ta poezja jak w upiornej lustrzanej sali, w której ciągle traciła się rzecz istotna, a wszystko jest tylko nieuchwytnym odbiciem innego odbicia. Ten fetyszym słowa, który środek zamienił na cel czy poetycką igraszkę, zdołał już w Polsce demoralizować niejednego młodego poetę, — co się nawet ze samoschlebnym uśmiechem nazywa skamandryckim epigonizmem. Lecz to napuszyło celebrowanie „Słowa” zakrawa raczej na dosiadanie swego poetyckiego konika, na którym dojeżdża się jakoś do swej skromnej sławy. Zakochaui w sobie narcyzy zdają się nie wiedzieć, że ludzie pracy poprostu i zapamiętałe pracują, nie tracąc czasu na strojenie pretensjonalnych modlitw o „Słowo”, o „Pracę”; że poeci nie modlą się o poezję, jak ludzie szczęśliwi nie modlą się o szczęście — tylko zwyczajnie szczęściem swem, poezją i pracą żyją każdej chwili nieświadomie i niechętnie.

Zatopiony w swej poetyckiej próżności Tuwim przegląda się i kryguje w miniaturowym zwierciadku swych ślicznych błyskotliwych słów, coraz stroi w niem nawspak i naukos swe werbalne grymasy — lecz zwierciadłu temu nie umie nadać większych rozmiarów i tak je ustawić, by otaczając nas blisko współczesna rzeczywistość odbiła się w niem w całej groźnej potęgze i załamała się pod ostrym kątem poetyckiego widzenia. Brak pozytywnego stosunku do tej wyczuwanej wprawdzie rzeczywistości nie pozwala też Wierzyńskiemu zdobyć się na własne, silne tony — choć ostatek próbuje czasem uderzyć w nową nutę. Lecz natomiast, który w swej refleksyjnej lirycie zda się wszystko już wyczerpać, co w lirycznym wierszu najpiękniej wypowiedzieć nam mógł, od-

Twórca „Ludzi podziemnych”, „Pokolenia Marka Świdry”, „Mogily nieznanego żołnierza” i „Fortuny kasjera Spiewankiewicza”, udzielił nam kilku minut rozmowy, w których określił swój stosunek do zagadnień społecznych w poezji, wysuwanych przez nasze pismo.

Cóż to, wywiad? — zapytuje witając się ze mną.

Nie tyle wywiad — mówię — ile ankieta, lub raczej zasięgnięcie opinii odnośnie haseł i zagadnień wysuwanych przez Głos Literacki.

Trudno mi tak odrazu coś powiedzieć — mówi wielki pisarz. — Głos Literacki czytam, jak również czytałem ostatnią opinię Sieroszewskiego. Tak kategorycznie jak Sieroszewski jednak bym się nie wypowiedział. Pismo jest dla mnie sympatyczne przez swój najzupełniej obiektywny stosunek do ujmowanych zagadnień literackich. Rozwieliło mi się bowiem u nas w pewnych grupach literackich sobkostwo, snobizm i wzajemne samouwielbianie w obrębie danej klikii, wznoszenie peanów i hymnów pochwalnych ku własnej czci i glorii. Ktoś robi wieczerz literacki, na którym recytuje własne, przez nikogo nie cenzurowane utwory, mało mające wspólnego z literaturą, tylko w tym celu, by jego kolega mógł napisać obszerną recenzję pochwalną z tego wieczoru.

Całe życie umysłowe i kulturalne narodu, obecnej epoki dla nich nie istnieje. Wszystko, co się tworzy dla literatury i sztuki poza grupą, dla nich niema znaczenia. Piszę się recenzje ujemne o książkach i pismach (pomijając styl) nie wnikając w ich ducha i w ich zasadniczą treść. Mojem zdaniem, albo książka nie wchodzi w zakres literatury i wówczas nie ma o czym pisać albo jeżeli się już o niej pisze, to trzeba koniecznie jej poświęcić nieco uwagi i trzeba ją przemyśleć. Nigdy nie można z góry już przesądzać młodych talentów i zamykać drogi do wyrobienia się, przez wykpiwanie i wyszydzenie.

Iat daremnie nam zapowiada „Panią Walewską”... Jest jeszcze jeden ewenement literatury polskiej — to wydęta do ostateczności purchawka prozy i wierszy — Iwaszkiewicza; klasyczny przykład, jak można pisać dużo, jeszcze trochę i jak najwięcej o niczem, zachowując przytem wykintność słowa i „salonową” mądrość z rodzaju tej n. p. że... wszelka filozofia jest tylko funkcją i odmianą stylu. Doprawdy — jest to ze wszystkich prozatorów polskich chyba najdoskonalszy i nie-skażitelny stylizator banalności.

Jedynie Słomiński siłą swoich pragnień i nie-spokojnym duchem wyszarpnął się z pod tego strychulca nijakości żarliwym akordem „Wieży Babel”; jedynie jeszcze Wittlin nieustanną kontrabandą pokojowej myśli wnosi nieco wszech-ludzkich wartości w tę tradycję już tylko sprzęgniętą grupę.

Pewien freudysta określił raz onanie jako erotyczny narcyzm; gdyby krąg niniejszych zainteresowań rozszerzyć na wielu jeszcze przedstawicieli polskiego wiersza i prozy, to w większości wypadków natknęlibyśmy się na żalosne objawy bezpłodnego, poetyckiego narcyzmu, na wyjąłowanie twórców, których wobec wymogów współczesności dyskwalifikuje ich społeczny analfabetyzm, którzy poprzez swą czysto werbalną i błahą poezję nie dorosli do poetyckiej walki o świat, wielkie i pozytywne cele.

Emil Schürer.

Tego w Głosie Literackim niema i to wzbudziło we mnie zaufanie i sympatię do pisma.

Co do zagadnień społecznych w poezji nie umiem sobie tego wyraźnie zobrazować. Sam jestem socjalistą od najmłodszych lat i nawet nim się dowiedziałem co to jest socjalizm, już byłam socjalistą, bo miałem olbrzymie poczucie krzywdy drugich. Dlaczego jeden ma wszystko, a drugi cierpi nędzę. Czy tylko dlatego, że w takich warunkach się urodził? Cierpienie drugich odczuwałem jak swoje własne.

Kierunek społeczny w literaturze już istniał i przed wami, a któż jak nie Żeromski dał mu tak potężny wyraz odczucia nędzy i cierpienia. Dlatego dobrze żeście ten kierunek podjęli, bo tylko wspólna idea ludzi jeńców w drodze do celu.

Jaki jest pogląd Pana na kwestję Akademii, czy też Izby Literackiej?

Jestem stanowczo za Akademią Literatury. Stanowisko swoje uzasadnię publicznie w niedługim czasie.

Jak przedstawiają się prace Pana obecnie?

Obecnie pracuję nad zbiorkiem opowiadań z czasów wojny, skierowanych przeciw wojnie, które wydam w niedługim czasie p. t. „Klucz otchłani”. Niektóre z nich drukuję już w Robotniku. Poza tem poświęcam się filmowi i mam zamiar w najbliższym czasie napisać trzy scenariusze dla Polskich Wytwórni Filmowych. Muszę tu zaznaczyć, że niektóre pisma nieściśle podały, jakoby pisał scenariusz do filmu „Przedwiośnie” Żeromskiego. Scenariusz pisze kto inny, a ja tylko mu służę radami jako kierownik literacki tej imprezy.

Żegnaj znakomitego pisarza, który jeszcze mówi: — Mam dziś mało czasu, ale przyjdzie kiedyś, to sobie obszernie pogawędzimy.

Czesław Boratyński.

ANDRZEJ WOLICA.

NIEDZIELA

Sprostują się zgłębione bary, odpoczną dłonie szerokie,
Obmyją się tydzień niemyte, zropiałe, zaspane oczy.
Słońce i gorycz wiosenna buchnie strumieniem do okien.
Dzień się, jak kula złocista, po szosie go-dzin potoczy.

Bezsensowność długiego południa zasieje nie-pokój w dłoniach.
Zmęczone myśli uśpi świętych obrazów prostotą.
Dzień, jak rumiany suchotnik powoli będzie konał.
Słońce w czerwonej agonii na wieczór będzie się miotać.

Świąteczne myśli wypłyną nad parę świątecznej strawy.
Wieczór pokorną Komunią uprości życie sobaczce.
Nienawiść i tkliwa rzewność zamienia się w zwykły nawk.
Spłyną przekleństwem goryczy i szarym, tłumionym płaczem.

OSKARŻENIE

OBRONCY

NORWID

POETA PAŃSTWOWOŚCI POLSKIEJ

Tym razem po raz pierwszy nie wiem jak mówić. Jestem zagniewany, a pragnąłbym, ażeby moje słowa wolne były od gniewnej przesady, ażeby w chwili spokoju miały dla mnie tyle prawdy, co teraz i by słusność musiał im przyznać nawet ten przeciw komu są zwrócone. Jestem zagniewany, więc, nim zdanie wypowiem, przytrzymam je, zważę językiem, zgryzę, a jeśli mimo to będę musiał powiedzieć Irzykowskiemu rzeczy przykre, rozgrzeszę się tem, że mówię je ja, ja, który kochałem go jak nikt w Polsce.

Obrona młodej literatury, z jaką Irzykowski wystąpił niedawno („Robotnik” nr. 118) nie dała nic nam, jej twórcom. Nie cieszy nas pochwała Irzykowskiego, nie pobudza nas jego zarzut. Po jego obronie zmuszeni jesteśmy krzyknąć, że nie chcemy, by nas broniono, chcemy, by nas rozumiano.

To kręcenie młoda literatura, jakby to była kula jedna i niepodzielna; to przyjmowanie opony równieństwa czy równocześnieści jako spoiwa wystarczającego, by nie widzieć przegród, które tę młoda literaturę dzielą i waśnią; to rozciąganie określeń na całość, gdy są prawdziwe, lub nieprawdziwe tylko dla części. Jeśli z czyjej strony, to właśnie ze strony Irzykowskiego, który dla zjawisk życiowych zna tyle subtelnych podziałów, moglibyśmy oczekiwać pewnych rozróżnień, ściślejszych konturów, a choćby tylko wyraźnych podmiotów, tymczasem nie tylko tym razem, lecz i poprzednio, lecz zawsze mówi on o młodej literaturze tak, jakby pragnął, by niewiadomo było o kim mówi, by mogło odnosić się to do wszystkich i do niektórych i by w sytuacji stworzonej przez niego odpowiedź drażnionych musiała być równie nielogiczna, jak odpowiedź na list, w którego adresie znajdujemy nasze imię, lecz cudze nazwisko. Proszę Pana, nauczysz się od Pana metody insynuacyjnej, którą Pan tak dowcipnie stosuje, powinienem w tej chwili zaznaczyć Panu, że mimo swej waleczności lęka się Pan terenu, na którym starcie mogłoby rozebrać się ostatecznie, że chodzi Panu tylko o podjazd, że zależy Panu na utrzymaniu sytuacji, w której Pan atakowałby nas bez nadziei zwycięstwa, a my mielibyśmy szukać Pana po kryjówkach bez możności zwycięstwa.

Otóż: my tego stanu nie chcemy, nie chcemy. Nie chcemy go nawet wtedy, gdyby miał on być dla Irzykowskiego jedynie utrzymaniem się w przypisywanej mu roli poszukiwacza stałej opozycji przez zmianę pozycji. Już nas nie może ujmować jego opozycja, od kiedy poznaliśmy, że wprawdzie idzie on na północ, kiedy część opinii idzie na zachód, lecz gdy większość skierowuje się ku południowi, pragnie ją na tej drodze wyprzedzić. A jego zmianom pozycji nie przypisujemy już wartości poznawczej, od kiedy przekonaaliśmy się, że jego obroty nie służą swobodzie poznania i przekrawaniu naszej sprawy światłem ruchomem. Bo nie krąży on dokoła przedmiotu, lecz kręci się przed nim; nie ogląda z różnych stron, lecz chce być z różnych stron oglądany. Ci z młodych, którzy jak ja z najczulszą uwagą śledzili jego ruchy, dostrzegą w nich za dużo szukania pozycji tego rodzaju, z których możnaby czynić podjazdy głośne, lecz nieuchwytnie. Nam jednak musi zależeć na tem, by mieć go na jasnym terenie, bo my przecież chcemy go pokonać.

Przyjmijmy więc, że to nam, nowatorom, przagnie Irzykowski oddać sprawiedliwość, gdy mówi: „To pokolenie najmłodsze ma swe zalety; tkwią one w zdobycach pozytywnych”. Ej, nie chcemy by nas broniono, chcemy by nas rozumiano. On, Irzykowski, umysł w którym zawsze chciałoby się móc znaleźć, oryginalność wyboru posługuje się tu wyborem niedopuszczalnie grubym, kompromitująco łatwym i banalnym, ot takim na jaki potrafi się zdobyć byle gałganiarz umysłowy. Bez analizy, bez pomiarów, bez zestawień, nawet bez przeciwstawień w rodzaju Adama Grzymały-Siedleckiego („Kurjer Warszawski” nr. 108) a w dodatku bez przygotowania poprzedniemi wystąpieniami krytyka pojawia się tu wulgarny sąd o rozwijającej się ciągle pracy ludzi, którzy myśl polską ostatnich lat wzbogacili nabytkiem, jakiej nikt inny w tym czasie jakością nie przewyższył. Irzykowski mówi, że odkrywamy Ameryki i razimy go arogancją. Naprawdę? Proszę Pana, gdyby to miało być ponowieniem dawnych zarzutów o plajtowaniu zagranicy, to jestem zmuszony, najprzykrej zmuszony, odpowiedzieć na to inaczej, niż Panu dotąd odpowiadano. Powiem, że zarzut ten byłby na innych ustach błędem, a na Pańskich jest zuchwałością. Bo, proszę Pana, jakie Pan ma prawo wypowiadać sąd w tej sprawie, Pan, który nie może sięgać do tekstów obcojęzycznych, który zatem światła literackich nie potrafi umiejscawiać na widnokręgu zagranicznym.

Przyjmujemy dalej, że to o nas, nowatorach, mówi Irzykowski, mówiąc że „sama literatura stała się wielkiem i trudnem zagadnieniem, technika twórczości wzbogaciła się i skomplikowała, pisanie stało się dziesięć razy trudniejsze niż poprzednio”, przyjmujemy że to o nas mówi przyznając że „najmłodsze pokolenie czuje się bardzo

dobrze”. Brzmi to nadzwyczajnie. Niejeden, czytając artykuł Irzykowskiego, pomyślał sobie zapewne, jak żywotnym i szlachetnym umysłem jest ten Irzykowski, jak on śledzi młodych, jak ich rozumie, jak ich zna! A tymczasem my. Te twierdzenia nie cieszą nas ani trochę, nie cieszą nas wcale, wcale, nic. A wiecie dlaczego? Bo nie pochodzą z poznania naszych dzieł. Nie znajomość naszych czynów pisarskich, nie ujęcie organicznych ich rozrostu, nie wejrzenie w łączność naszych celów i środków, nie wniknięcie w tkanki naszych tworów, te odbicia wszystkich naszych idei, podyktowały tu Irzykowskiemu jego obronę, a tylko... tylko... kilka punktów projektu Izby Literatury zaproponowanych przez Wata i przemennie na jednym z zebrań opozycji antykatemickiej. Że tak jest istotnie, że Irzykowski nie rozumie naszego piarstwa, o tem świadczy podtrzymanie dawnego zarzutu o „niezrozumiałości” nowej literatury, bo to, co on tą nazwą określa, jest nieodłącznym następstwem naszych zamiarów pisarskich, jest z nimi nierozdzielnie organicznie związane. To tak jakby ktoś chwalił technikę przemysłu samolotowego, a występował z zarzutem, gdy samolot, spełniając swe zadanie, wznie się w obłoki.

Przyjmijmy jeszcze raz, że to mówią o nas, nowatorach: „Twórczość młodych uświadamia się w o wiele wyższym stopniu niż dawna, stąd hamulce wewnętrzne, autokrytycyzm, jałowość. Na zewnątrz niema efektownego rezultatu, ale wewnątrz dla kogoś, kto umie czytać między wierszami, rozgrywa się cicha tragedia twórcza młodego pokolenia”. Skądżeż ta czułość przestrzeni między wierszami, skoro same wiersze są nieczytelne? Skądżeż te zapędy znawcy? Jak długo Irzykowski biadał nad niezrozumiałością naszych książek, moglibyśmy mu więcej przebaczyć, niż teraz kiedy przybera gesty „wtajemniczonego” i kiedy wspólna nasza praca dokoła projektu Izby Literatury może wywołać pozór, że nas zna. Jak długo Irzykowski skarżył się, czyż oskarżał? Więc jeśli już mniama, że widzi nas lepiej, niechże nas nie hańbi spojrzemianami banalnymi. Stwierdzenie związku między tworzeniem świadomości a jałowością... nie, już czas wyjść z tego, takich myśli nie powinien wypowiadać umysł o mocy Irzykowskiego. A to, że po naszej stronie niema efektownego rezultatu, wręcz przeciwnie! Daliśmy obfitość, rozmaitość i nateżenie efektów literackich, które w największej liczbie dzieł utwierdzą swą odrębność. Lecz może Irzykowski miał na myśli inną efektowność, bo zauważył wprawdzie że nam nie imponują grube tomy, ale może imponują one jemu i miara grubości wpływa na jego pomiarach. Nam nie chodzi o grubość. Ile jest treści, światła i siły w tomiskach naszych poprzedników, tyle jest treści w naszej krótkości, tyle jest światła w naszej szybkości, tyle jest siły w naszej gęstości.

Nasza tragedia? Niema tragedii w nas, tragedia jest poza nami. Rozpoczyna się w tej odległości, z której patrzą na nas, nie widząc nas, najbieglejsi w myśli i słowie, a posuwa się po krwawym promieniu przecinającym obwody na których w różnych odstępach podłość i mierność rozłożyły dokoła nas swe radosne złoćstwo. Owszem, to co daliśmy, jest tylko częścią tego cośmy nieśli. W środowisku, w którym nowość szarpać się musi z gnuśnością, jako matka podłości i mierności, życie nasze zwiedłoby na pokonywanie przeszkód, z których opisu powstaćby mogła straszna epopeja współczesności polskiej. I to jeszcze wiedzieć, że czego nam z sił naszych nie zrabowała gnuśność, to zrabowała nam smutna myśl o niej. Owszem, moglibyśmy, dać więcej, lecz winnymi jesteśmy nie my. Tyle nowych myśli wniosła na swych barkach, młodych nie tylko z lat, lecz z siły kości, literatura nowatorska, a ktoż zajął się naszymi wnosińami? Kto w nie wniknął? Kto umiał brać z nich dla dobra kraju? Kto przytakiwał ich rozwojowi? Tyle tkwi w nich możliwości, tyle dróg z nich wiedzie. Nikt nam nie był pomocą. Jedni nie rozumieli, inni mieli interes w tem by nie rozumieć, a my mimoto czyni, których nikt od nas nie żądał, czyniliśmy tak jakby nas o to błagano. Jednak w sztuce oddźwięk wpływa na dźwięk, a cóż dopiero w sztuce która śni jawę nowoczesności. Nam trzeba już nie tylko oddźwięku otoczenia, nam trzeba jego współpracy. Aby dzieło nasze mogło osiągnąć pełnię, potrzebne nam jest dzieło elektrotechnika, filozofa, architekta, meblarza, psychologa, chemika i dzieło Pana który jesteś dzisiaj najbieglejszym chemikiem opinii. A tymczasem nie znaleźliśmy w społeczeństwie współtwórców, a Pańskie wystąpienia przeciw nam co? Dzisiaj można już stwierdzić z kwaśną stanowczością, że nie były dla nowej sztuki bodźcem ani nawet wrogiem, że nie współpracowały z nią ani nawet walką. Więc co? Więc były nieplodne. Nasz czyn nie jest jałowy, jałowym jest Pański przyczyn.

Tadeusz Peiper.

Nie odchodzisz na zniknięcie —
Słów twych ujrzyś w żywot wzięcie,
Tyś nie śmierci łup!
Jeszcze wleczesz skrzydłim lotem...

Słowa Zygmunta Krasińskiego wieszczące Norwidowi wieczne zwycięstwo, nie zdają się sprawdzać.

Mimo, że oficjalna krytyka polska coraz więcej miejsca poświęca wielkiemu poecie, dla ogółu pozostał on niezrozumiałym i nadal.

Wylewać z tego powodu krokodyły lzy nad nieszczęsnym losem geniuszów, którymi nieraz dopiero w kilkadziesiąt lat po ich śmierci raczy zainteresować się naród, zarzucać z udanym oburzeniem, w słowach nabrzmiałych od aktorskiego bólu obojętność społeczeństwa polskiego wobec palących zagadnień kultury, lub wręcz oskarżać je o zupełne niedorozwinięcie duchowe, byłoby obecnie dowodem zupełnego niezrozumienia, czy nawet zaniegowania dzisiejszej psychiki narodu, który domaga się, i domaga się zupełnie słusznie, jaknajdalej idących zmian, we wszystkich dziedzinach życia, a więc i w dziedzinie literatury.

Pochłonięci teraźniejszością, która tyle przyniosła i przyniesie nam niespodzianek, nie mamy poprostu czasu na zajmowanie się pisarzami epoki minionej, choćby nawet ci pisarze byli prekursorami przyszłości. Choćby nawet... Nie! Tęgo powiedzieć nam nie wolno. Nie mamy poprostu do tego prawa. Dziesięć lat niepodległego bytu państwowego, to jeszcze stanowczo za mało, dla wytworzenia nowej i zdrowej kultury narodowej, której przecież, niech kto mówi, co chce, wcale nie posiadamy.

Nie możemy się jeszcze oswoić z naszą niepodległością.

Państwo nie wniknęło jeszcze w naszą psychikę, nie powiedziało jeszcze swojego słowa w dziedzinie kultury, a powiedzieć takie słowo musi. Jest to poprostu warunkiem sine qua non niepodległego bytu.

Oto jest zasadniczy powód, dla którego sięgamy dziś do dzieł pisarza, żyjącego pół wieku temu.

Kochać Polskę, to potrafi każdy, ale kochać ją rozumnie, twórczo, widzieć w Niej nie tylko Naród, i tradycję, ale Państwo i to Państwo przedewszystkiem, to już rzecz rzadka, niezmiernie rzadka, na naszym terenie wprost niesłychana.

Wiek XIX by to czas dla poetów. Podczas, kiedy myśl europejska siliła się na rozwiązanie całego szeregu zagadnień politycznych, socjalnych i religijnych, romantyzm polski musiał spełniać jedynie misję pocieszycielki, wychowawczyni swojego Narodu. Oczywiście, niepodobna zarzucać brak szerokiego oddechu takim tytanom słowa, jak Mickiewicz czy Krasiński, ale niepodobna również nie stwierdzić, że myśl polska okresu niewoli była zupełnie niedojrzała, jednostronna i wątpliwa i że obowiązek swój wobec narodu i ludzkości wypełniła w bardzo małej zaledwie części.

Na baczniejszą przeto uwagę zasługuje Cyprian Kamil Norwid, który będąc przecież niemniejszym patriotą od Mickiewicza czy Krasińskiego, umiał sprostać biegowi myśli europejskiej.

Inni poeci polscy podporządkowywali wszystko swojemu narodowi, mogli więc sobie z łatwością wytknąć linię swego postępowania. Zupełnie inaczej Norwid.

Polska zdobędzie swój byt niezależny, jeżeli będzie postępowała według takich a takich wskazówek. Ludzkość, a ściślej mówiąc Europa, jest skazana na zagładę dla takich a takich powodów.

Wobec Polski jest Norwid poetą twórczym. Tłumaczy, dlaczego upadła, daje Jej rady, aby odżyła.

Wobec ludzkości zajmuje poeta stanowisko negatywne.

Nie uratuje Jej nic, bo podstawy, na których się ona opiera, są już zgnilę.

„Siedzi by i miasta budują, rozwijają się na kloakach. Coś, jakby wciąż gnijący Laokoon, przewraca się w pieczarach stołic, pod gładko umieszczonymi ulicami”.

Kloaka! Oto symbol kultury europejskiej! Czyż można zatem uchronić ludzkość od zagłady? Nie, odpowiada Norwid, nie można.

Człowiek cywilizacji współczesnej jest zły, kultura europejska zgnila, narodów prawdziwych niema, są tylko stygmaty przeszłości.

„Wtedy uczulem, śniąc, jakby zająk płaczu, iż nie było jeszcze właściwych narodów, lecz stygmata tylko, a krwi taka szaruga po szarudzie i tyle krzykliwych złudzeń!” (Stygmat).

Do Polski, będącej przecież nierozdzielnie częścią ludzkości, będzie mówił poeta innemi słowy. Będzie ją uczył czem jest niewola, będzie Jej tłumaczył, że naród bez niepodległości, skazany jest na zagładę, że niepodległość tę wywalczyć trzeba pracą. Będzie wieścił, że kiedyś Naród polski zajmie pierwsze miejsce wśród narodów świata.

Wśród jakich narodów?

Norwid — Europejczyk, nie może pogodzić się z Norwidem — Polakiem. Pierwszy — to teoretyk-pesymista, drugi, — to człowiek praktyczny, widzący jasno cel przed oczyma. Jedyny prawie poeta polski, który umiał sprostać biegowi myśli europejskiej, wpadł w nieprzebaczalny błąd niekonsekwencji.

Nie podobna o to winić poety. Wolno było być w Polsce w XIX wieku pesymistą wobec ludzkości, trzeba było być optymistą, wobec własnego narodu. Był to czas, kiedy wymagało od każdego, by stawał do walki o wolność. Nie mógł się od niej usunąć. Cyprian Norwid złożył ofiarę ze swego ducha na ołtarzu narodowym.

Tak to krzywił i pacył wiek XIX myśl polską.

Przeczuwał to sam Norwid, mówiąc, że „niewola jest formy podstawieniem na miejsce celu.”

Cel pojmując poeta, jako nieskończony rozwój narodu, formę, jako środek, do celu prowadzący. Panowanie formy musi zatem wyrzucić swój straszny wpływ na umysłowość narodu. Norwid posuwa się tak daleko, że nawet na polu architektury upatruje piętno niewoli. (Promethidion).

Pojmując niewolę, jako formy podstawienie na miejsce celu, a stwierdzając przez to, że rozwijać się może naprawdę jedynie naród niepodległy, początkuje twórca Promethidiona nowy zupełnie kierunek w literaturze polskiej, któryby nazwać było można państwowotwórczym.

Inni wielcy nasi poeci, czy to będzie Słowacki, Krasiński, czy Mickiewicz, buntowali się przeciw niewoli, nienawidzili jej może, ale jej nie negowali.

Wystąpił przeciw niej dopiero z całą stanowczością Cyprian Norwid. Łatwiej nam może będzie teraz zrozumieć, dlaczego twórca Promethidiona tak małą cieszył się popularnością u współczesnych.

Mówił do nich rzeczy zupełnie niezrozumiałe. Mówił wciąż o wolności, której nie widzieli, negował całą porozbiorową kulturę, jako człowieka, którego wciąż nawiedzały wizje niepodległego państwa polskiego i z punktu widzenia tej właśnie niepodległości, przekreślał i negował, aż sam się może nie spostrzegł, jak przekreślił całą dotychczasową Polskę. Gdyby Go współczesne Mu pokolenie czytało uważnie, stałby się może Norwid nie tylko zupełnie niepopularnym, ale wręcz znienawidzonym.

Od tego uchronił Go Jego styl, ów ciemny, niezrozumiały, zawiły, styl, o którym się teraz tak dużo pisze i mówi, a który, jeszcze w chwili obecnej chroni wielkiego poetę przed napastliwymi atakami, czy zdawkowymi komplementami najrozmaitszego rodzaju dyletantów kawiarnianych, tego okropnego narodu journalistów, rozprawiających z wytwornym uśmiechem o wiecznych zagadnieniach bytu. Od wszystkich ataków, jakie były, są i będą, że styl Jego jest niezrozumiały o ciężki bronił się Norwid przez całe życie. Nie wiedzą ludzie, że „słowo jest tylko czynu testamentem, czego się nie może czynem dopiąć, to się w słowie testuje, zapisuje, takie tylko słowa są potrzebne i takie tylko zmartwychpowstają czynem, wszelkie inne są tylko mniej lub więcej uczoną frazeologią, jeżeli nie rzeczą samej sztuki.”

A zresztą, skarżą się ludzie na zawiłość Jego języka, ale czy silił się go zrozumieć? Czytanie jakiegokolwiek utworu wymaga czynnej współpracy z autorem, gdzie jej niema, tam nie może być mowy o zrozumieniu pisarza.

„On skarży się na ciemność mej mowy, lecz czy świecę raz zapalił sam?” (Ciemność).

Przekarmieni i zepsuci literackością, odwracamy się ze wstrętem od tego wszystkiego, co wymaga współpracy z autorem.

Tak to przeoczyliśmy cały szereg naszych wielkich poetów i tak przeoczyliśmy Norwida.

Juliusz Kroński.

KAZIMIERZ

KOSIŃSKI

STANISŁAW
WITKIEWICZ

SKŁAD GŁÓWNY
INSTYTUT WYD.
BIBLOTEKA A
POLSKA

O POWAGĘ
KRYTYKI

A. MALISZEWSKIEMU W ODPOWIEDZI

Autor artykułu „System podszczekiwanie” piętnując recenzję moją o „Motywie Księżyca” — właściwie nie zajął konsekwentnego stanowiska, jakiegoby oczekiwać należało od reprezentanta młodej twórczości. Nie wiem, czy p. Maliszewski czytał kiedykolwiek utwory p. Naglerowej — ja stwierdzam, że książek jej poprzednich nie czytałem wcale i, może dlatego właśnie najbardziej byłem swobodny i niezależny od wyrazu jej dotychczasowej... konieczności tworzenia. Moment ten — jest moim zdaniem bardzo ważny. W warunkach panującego konwencjonalizmu w literaturze (przy braku istotnych a minimum przychylnych obiektów krytycznych — o zgrozo!) szczególnie ten zasługuje specjalnie na podkreślenie. Niechże więc tu — p. Maliszewski pozwoli, że do braku uczciwości w recenzji swojej nie przyznam się przecież tak znowu zbyt pochopnie. Inna rzecz z „argumentacją” i inna też z „rzeczowością”. Tak. Słusznie. Nie było jej. Nie unikałem jej też „przypadkowo” i ani przez szkła nie patrzyłem polityczne, jak to czyniła p. Jehanne Wielopolska. Prostu nie uważałem za potrzebne. Cytaty moje, te, które dołączyłem do rzeczowej wzmianki — czyż nie były o wiele racjonalniejsze w motywacji mojego stanowiska wobec tej książki zgoda i to zgoda nic nie przynoszącej? Jakaż w takim razie mogła być inna rzeczywistość poza stwierdzeniem ważności i rozbiorem pointy każdej z trzech nowel? — Śmiem wątpić w sprawiedliwość sumienia każdego innego krytyka, któryby w założeniu zasadniczym mógł zająć odmienne stanowisko wobec tej beznadziejnej pisaniny. Płodzenie zbrodni dla nadania nowelom jedynej okraszy i jedyne nawiązku organizacyjnego w temacie — było dobre ale przecież nie dziś. Te czasy, na szczęście, skończyły się. Wiemy już wszak co to jest twórczość i co od niej wymagać mamy. Zdolność, literackiego parnasowania dla zabicia czasu i podtrzymania ambicji, żyjąca — niechże

sobie istnieje, ale — co to ma z twórczością wspólnego? Życie wymaga dróg wiecznie nowych i codzień coraz bardziej potężnych. Wymaga rozpięcia tych gościńców o tak gigantycznych rozmiarach, które mu dać może jedynie idea olbrzymia, drogi te szukająca w przestrzeni. Książka nie może być nigdy niczem innym jak ścisłym zapotrzebowaniem czasu, jego koniecznością, jego dni przyszłych emanacją; musi być wnętrzną i żarliwą potrzebą twórcy. Jeżeli zaś w imię wysokiej bezstronności ośmielę się tu zapytać: co zrobić z ideą „Dziewczyny z zimorodkiem” lub „Twarzą mężczyzny” — a co z drugiej strony z „Motywem księżycy” — oto bezsporna odpowiedź, która wystrzelić musi z całym entuzjazmem, z całym żywiołowym patosem na korzyść pierwszych dwóch dzieł, nakreślonych jakże głęboką i jakże piękną i umęczoną chwilą ekstatycznego nakazu.

Dostosowanie strony krytycznej do wyżyn tej powagi — o którą zręcznie próbuje walczyć p. Maliszewski — nie znajduje nigdy swego wyrazu pozytywnego tam, gdzie „blekitne zamki” dostrzegać trzeba choćby białym szkiełkiem mędrca. Skleconą próżnię czas rozbija pierwszym wstrząsem. Jak liść opadnie z niej błądy sentyment i tękruszy przygodną mozaikę chwały. Dlatego w poszukiwaniu mocarzy trzeba tępić i tępić ostro węże co nogi gryzą — bez względu na środki. Żywoć sztuki bowiem w ornamentach bezkrwistych ran w twórczości jest tak nie do pomyślenia, jak nie wydaje mi się prawdopodobną wszelka istność innej formy życia bez ran i bez stygmatów, które symbolicznie tkwią na niej. I czy wtedy — zwierciadłem życia tej formy, nie będzie jej treść głęboka i skojarzona a nadewszystko już ciepło jej bijącego pulsu?

Neminem laedemus — autorko „Motywu księżycy”.

Bijmy się w piersi: Mea culpa, mea culpa, mea...

M. B.

DEBIUT POWIEŚCIOWY

„Gorycz wiośni”¹⁾, debiut powieściowy młodej literatki Hanny Mortkowiczówny autorki zbioru poezji p. t. „Jarzębiny” i poważnie potraktowanego studjum: „O Wandzie”, należy do rzędu udanych.

„Gorycz wiośni” nie jest powieścią w całym tego słowa znaczeniu, brak jej pierwiastka intrygi, ożywiającego akcję. „Gorycz wiośni” to nawet nie przekrój jakiegos zdarzenia, nie rozwiązanie splotu problemów — to historia kształtowania się indywidualności ludzkiej od dzieciństwa — do chwili wejścia w życie — do matury — cały ten okres brzemienny w następstwa, jeśli idzie o sformowanie i ukształtowanie psychiki ludzkiej.

Temu to okresowi poświęca autorka swoją powieść. Przez cały czas czytelnik z zainteresowaniem śledzi dzieje Wiśki, małej dziewczynki w pierwszych rozdziałach i nie bez żalu żegna ją jako dorosłą pannę w rozdziale ostatnim. Uczucie przywiązania do bohaterki, pełne zainteresowanie, towarzyszące czytelnikowi stale w wędrówce po kartkach książki, wszystko to świadczy najlepiej, że autorka wywiązała się ze swego zadania dobrze.

A zadanie nie było łatwe. Trudność samej konstrukcji powieściowej polega na wydobywaniu całej gamy nastrojów z tego niepowszedniego życia młodości, wychowanej podczas wielkiej wojny, dziś może właśnie dlatego niełatwej do odtworzenia, że jeszcze nieukształtowanej w naszym widzeniu historycznym.

Mortkowiczówna wysłała obronną ręką z tego zadania. Z powieści swojej wykluczyła cały pierwiastek nadzwyczajności przeżyć, akcji, intryg i

położyła cały nacisk na odmalowanie odpowiedniego psychicznego tła. Naturalność Wiśki strzeże ją od rzeczy gorszej, a tak często spotykanej w najnowszej literaturze, od psychologicznej blagi. Nie ma jej w „Goryczy wiośni”, a jednocześnie nie ma też konwencjonalności powieści dawnego typu. Obrazy, wycinki z życia proste, umiejętnie dobrane — fragmenty charakterystyczne dobrze powiązane, stwarzają jasność linii rozwojowej bohaterki.

Tyle o konstrukcji. Styl, ukształtowany niewątpliwie pod wpływem Żeromskiego i Kadena, zbliżony w pewnych momentach do stylu Kuncewiczowej, po za pewnymi ustępami nieco sztucznymi — bardzo dobrze scharmonizowany z treścią. Dużo nowych, ciekawych określeń świadczy o wyrobieniu literackim autorki.

Charakterystyka postaci i ich dobór bardzo dobry. Walory konstrukcyjne i stylistyczne „Goryczy wiośni” nie wykluczają jej walorów ideowych. Jasna i zrozumiała jest dla nas myśl autorki:

„Pokolenie wychowane w pożodze wojen — w walkach o odzyskanie wolności kraju — musi się stać pokoleniem pracy”.

Książka Mortkowiczówny jest pierwszą książką w literaturze polskiej, poświęconą młodości wychowanej w epoce wielkiej wojny, książką napisaną z punktu widzenia subiektywnego.

Jerzy Toeplitz.

¹⁾ Hanna Mortkowiczówna — Gorycz wiośni, powieść, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Nakład T-wa Wydawniczego. Warszawa, 1928.

Dochodzą nas wieści, że znany esteta

Jarosław Iwaszkiewicz nabył prawo

przeróbki wszystkich powieści Mayne-Reid'a.

GDZIE
ZGINAŁ PORUCZNIK
JAN TSOPEK?

Gdzie zginął porucznik Tsopek? Wyjechał? Umarł? Przecież nie było pogrzebu. Nie znaleziono zwłok porucznika w mętnych nurtach Wisły. Nie zabił się. Zniknął. Dziewiątego maja wyszedł wieczorem z mieszkania. Czy był sam? Stróż upiera się, że widział go z jakimś panem. Ale czy to prawda? Nic nie wiadomo. Nikt nie przypuszcza, że może właśnie w tej chwili Jan Tsopek, porucznik rezerwy wojsk polskich, przechadza się w korkowym hełmie po zamulonych wybrzeżach Nilu, albo płynie chwiejną łódką na rwących falach Zambezi.

Może siedzi w kabinie pasażerskiego okrętu jadącego do Sydney, może teraz w największym mieście świata — Londynie zakłada wielką spółkę handlową: „Tsopek and comp.” Któż to może wiedzieć? Gdzie zginął porucznik Tsopek? Wyjechał? Dlaczego?

Widziały go wszystkie fronty świata podczas wielkiej wojny. Dusił się w skalistych rowach nad Piave i Isonzo, oddychał żrącymi gazami przy bohaterskich fortach Verdun. Nie był mu obcym żelazny krzyż Pierwszej Brygady i szary mundur strzelecki. Był w Wilnie, kiedy tworzył się rząd Litwy Środkowej; był w Bytomiu, kiedy wybuchło śląskie powstanie. Mając czternaście lat dźwigał wypchany żołnierski plecak i ciężki karabin. Plecak i karabin były pierwszymi drogowskazami życia, stopień porucznika — ostatnim szczeblem kariery wojskowej.

Znało go wielu. Czech z pochodzenia, opowiadał, że zgubił w wojennej zawieru-

rze rodzinę, gdzieś w Bratysławie czy Złotej Pradze. Został w Polsce, bo mu tu dobrze było. Dobrze mu było pięć lat temu i cztery lata i trzy... Nic nie znaczył huraganowy ogień frontu zachodniego, ani ciężkie boje w dorzeczach Styru, Piny i Prypeci. Potem nadeszły radosne chwile zawartego pokoju. Wtedy porucznik Jan Tsopek poczuł się nudzić i wystąpił z wojska. Jeszcze jeden raz zjawił się w szeregach armii, na rozkaz Naczelnego Wodza, żeby jeszcze jedną parą krzepkich rąk pomnożyć siłę przełomu, który miał się dokonać w przybranej ojczyźnie. I ostatni raz pracował już jako „cywil” w wielkiej wyborczej kampanji. Skutki przełomu trzeba było podtrzymać setkami tysięcy głosów wszystkich obywateli.

Wtedy zaczęło się nieszczęście porucznika Jana Tsopka. Nie dlatego, że zobaczył dawnych kolegów z nad Styru, Piny i Prypeci i że mógł znowu, po raz tysięczny chyba, wysłuchiwać opowieści o pierwszej kadrowej i o tem jak generał, wówczas pułkownik, Berbecki ku zgorszeniu i rozpaczcy austriaków, dla całego pułku obstałował długie buty, bo to był pułk czwarty. I nie dlatego, że spotkał kapitana Wojdeckiego, znajomego z nad Isonzo i Piny, z którym się teraz nie rozstawał. Porucznik poznał jeszcze jedną osobę. Ale przecież nic się przez to nie stało, nic się nie zmieniło. I rzeczywiście, początkowo przez to nic się nie zmieniło. Dopiero po kilku miesiącach, tak jakoś niewiadomo skąd, któregoś dnia porucznik Tsopek musiał sobie powiedzieć: że... że wczorajszy spacer w Alejach nie był zwykłym spacerem, dlatego, że była ona, tylko dlatego. Odtąd porucznik pytał zawsze i przy każdej okazji: — czy mogę panią odprowadzić? — A później już się nawet nie pytał i wychodzili razem. Wiatr szeleścił gałęzmi drzew, a porucznik czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Każdy ruch jej ręki, każde spojrzenie oczu,

błysk źrenic były dla niego jasnymi promieniami słońca, rozświetlającymi najchmurniejsze dni. Potem zaczęło się coś psuć. Dlaczego? Któż to może wiedzieć? Aż kiedyś kapitan Wojdecki wpadł przypadkowo do mieszkania porucznika. Porucznik Tsopek miał twarz bladą, prawie szarą, siedział przy stole i głąkał mały, czarny, belgijski browning. Wojdecki wyciągnął rękę po rewolwer, — muszę ci go zabrać. Po pierwsze dlatego, że bronią nie wolno się bawić, po drugie dlatego, że wyglądasz tak, jak... — Kapitan nie skończył i wsunął czarną, błyszczącą broń do szerokiej kieszeni płaszcza. Z bladych warg porucznika wybiegło jedno zdanie: — Chciałbym już odejść... — Kapitan zerwał się z krzesła. — To tak? To nad Isonzo odejść nie chciałeś, trzymałeś swoje życie w garści pod Verdun, razem topiliśmy się w błotach pińskich, a teraz... teraz chcesz odejść? Powiedz wszystko, będziemy naprawiać. Zawsze można naprawić. — Nikt nie wie o czem mówili obaj oficerowie.

Porucznik Tsopek zaczął „naprawiać”. Tydzień nie rozmawiał z nią wcale, później było już trochę lepiej i porucznik łudził się przez jeden dzień, że jest tak, jak było na początku. I znowu ją odprowadzał, dopóki... dopóki nie zgasła ostatnia iskra nadziei, a razem z tą iskrą poczęło gasnąć życie Jana Tsopka, porucznika rezerwy wojsk polskich. Kiedy ją widział, gniołący kurcz chwycił go za gardło i nie pozwalał mówić, kiedy jej nie widział, było jeszcze gorzej. Wszystkie dni stały się smutne, szare i niepotrzebne. Każdy ranek był zapowiedzią męczarni całego dnia. Każdy wieczór sygnalizował bezsenność. I tak trwało bez końca, bez nadziei, bez ratunku. Jeden kapitan Wojdecki czuł, widział i myślał za niego.

Ktoregoś wieczoru porucznik zażądał zwrotu rewolweru. Ot tak, prosto chce go oczyścić. — Nie, rewolweru nie dosta-

niesz. Dasz mi zato swój paszport na kilka dni i pomyśl nad tem, że przecież... że przecież musi być jakiś koniec, albo... lepiej nie myśl nic.

Znowu minęło kilka dni, wszystkie leżały na duszy porucznika jak ciężkie młynskie kamienie. Wreszcie dziewiątego, tak, dziewiątego maja przyszedł kapitan. Opałowany, obwieszony na wszystkie strony chrząszczami świeżą skórą torbami.

— Wyjeżdżasz? — Wyjeżdżamy. Ubieraj się. — Nigdzie nie jadę. Poco, naco, dokąd? — Na ciemną ceratę stołu upadł paszport zagraniczny. Ze sztywnych kartek wyglądały różnokolorowe wizy wszystkich konsulatów. — Powiedziałem ci, że nigdzie nie jadę... — Twarz kapitana zniechęciła się w kamienną maskę. — Panie poruczniku! Proszę się ubierać natychmiast...

Przez głowę porucznika Tsopka przemknęły wspomnienia dawnych walk i trudów i to, że między szarym tłumem legionowym rozkaz jest zawsze rozkazem, na każdym miejscu i w każdym czasie. — Rozkaz! Panie kapitanie. — Ubieraj się bracie. Nic tu już więcej nie wysiedzisz. Nie na to piekłeś się we wszystkich ogniach świata, nie na to obnaszaliśmy strępy szarych mundurów, żebym cię miał tak samego zostawić.

A potem, kiedy siedzieli w pustym przedziale wagonu, a nocne cienie kładły się między blaskami wielkiego dworca: — przeszedłeś wszystkie fronty, padłeś na tym ostatnim, ale to jeszcze nie jest klęską. Zgubiłeś samego siebie, teraz musisz go znaleźć. I zapewne znajdziesz go innym, niż był dawniej; to właśnie będzie zwycięstwem.

Na pobladłej twarzy porucznika ukazał się ostry, bolesny skurcz. Wagony lekko drgnęły. Gdzieś nad dalekim horyzontem zabłyśły pierwsze gwiazdy, a na wieczystym froncie nieba wyrzała srebrna kula księżycy.

Wiesław Wernic.

WYNIKI PLEBISCYTU

CZYTELNIKÓW GŁOSU LITERACKIEGO NA 3 NAJLEPSZE WIERSZE

Ogłoszony przez nas plebiscyt na 3 najlepsze wiersze drukowane w Nr. 1—8 Głosu Literackiego, wzbudził znaczne zainteresowanie wśród czytelników. Nadsyłane odpowiedzi, w dużej części zaopatrzone w obszerne motywacje, charakteryzuje duża rozbieżność; wiele osób uskarżało się na „niezmiernie trudny wybór” trzech tylko z pomiędzy kilkunastu najlepszych wierszy. Głosy obliczaliśmy w ten sposób, że wiersz podany na 1-em miejscu otrzymywał 3 punkty, na 2-gim — 2 p., na 3-em — 1 p. Ostateczne wyniki plebiscytu przedstawiają się następująco:

Za 3 najlepsze wiersze Głosu Literackiego uznane zostały:

1. **Madonna Nędzarzy** — Niny Rydzewskiej (362 gł.).
2. **Opowieść o tańczącym dzwonie i zbuntowanej armacie Aleksandra Maliszewskiego** (248 gł.).
3. **Górnicy Andrzeja Wolicy** (186 gł.).

Pozatem ponad 50 gł. otrzymały wiersze następujące: Cyrk Wędrowny Włodzimierza Słobodnika (162), Ulica Niny Rydzewskiej (150), Siostra Amata Niny Rydzewskiej (148), Na Schodach Aleksandra Maliszewskiego (142), Porty Włodzimierza Słobodnika (124), Wyspiański Jerzego Alabandy (106), Do morskich kamieni Jerzego Alabandy (98), Inwokacja Zygmunta Łotockiego (86), Kuźnia Bronisławy Urbańskiej (68), Praca Jerzego Jodłowskiego i Najbardziej urojone Wacława Denhoff-Czarnockiego (po 55), Słowacki Mieczysława Bibrowskiego (51).

Jeśli chodzi o głosy jakie padły na ogólną ilość wierszy poszczególnych autorów, to najwięcej skupiła głosów Nina Rydzewska (714), dalej zaś Aleksander Maliszewski (420), Włodzimierz Słobodnik (308), Jerzy Alabanda (279), Andrzej Wolica (206).

Ciekawe są niektóre motywy jakimi kierowali się głosujący przy wyborze wierszy. Tak więc np. p. W. P. uważa „za najlepszy dotychczasowy wiersz „Głosu” „Madonnę Nędzarzy”, ponieważ obok świetnego opowiadania słowa i głępkiej ideologii, wiersz ten łączy i zespala dwa najważniejsze zagadnienia: kwestię socjalną i uczucie religijne”, zaś „Opowieść o tańczącym dzwonie” za „utwór o ogromnym rozmachu twórczym poety” i wreszcie w „Cyрку” Słobodnika dostrzega „cudowną płynność wiersza, bardzo miły temat i nastrój romantyzmu współczesności”.

P. Edw. W. pisze, iż w „Inwokacji” Łotockiego, podoba mu się „nie forma, lecz myśl — zdrowy romantyzm wysiłku twórczego”, zaś w „Inkantacji Naiwnej”, Maliszewskiego „wyrażenie myśli ogólnoludzkiej z nierównoznaczna finezją, doskonała forma, pełna przepięknych porównań”. „Maliszewski, mówi p. E. W., to kłopot, poeta obrazów, nieobjaśnianych rozmyślnie, plastycznie podkreślanych melodją”.

P. E. Sk. określa „Górników” Wolicy mianem wiersza „najgłębszego, najdalej sięgającego do podłoża zagadnienia społecznego”; o „Słowackim” Bibrowskiego mówi, iż jest to „wiersz bardzo oryginalny, doskonale oddający nastrój, pełen grozy i tajemniczości u Słowackiego”; wreszcie „Opowieść o dzwonie” uważa za najlepszy wiersz „co do formy i słowa”.

„Wolynianka” za „najpiękniejszy wiersz” uważa „Wolyn” Alabandy „techną polskość i wyrażenie piękna tej naszej kresowej dzielnicy”; o wierszu Flukowskiego „Modlący się owies” mówi, iż „wyróżnia się ciekawym i oryginalnym skojarzeniem”.

P. M. Rot, stawiając na pierwszym miejscu „Górników” Wolicy tak pisze: „Znam środowisko górników... stykałem się bezpośrednio z szarym, opromienionym aureolą niepewnego jutra, życiem czarnych rycerzy kłosa. Pełen artystycznego umiaru, głęboko przemysłany wiersz p. Wolicy przemówił do mnie”. Co do „Opowieści o dzwonie”, to „wprawdzie myśl tego wiersza zawarta w ostatnim dwuwierszu niezupełnie wypływa z całości, jednak ogólne wrażenie, owe saldo, jak powiadała ludzkie cyfr, jest najzupełniej dodatnie”.

P. K. K. uważa „Pracę” Jodłowskiego za „jeden z najgłębszych wierszy, ujmujący w artystyczną formę ideologię pracy”. „Jest to wiersz programowy, będący wpływem zdecydowanego światopoglądu”.

P. M. Boj pisze iż „Madonna Nędzarzy” „prawdą i śmiałością tematu” poruszyła ją „do głębi”. P. Wald. Bor. uważając iż „żaden wiersz nie stał na takim poziomie jak „Morskie kamienie” Jerzego Alabandy” pisze: „Morskie kamienie to ludzkość wiecznie istniejąca i nie przestająca być ohydą, to korał zamieniony w skałę, to będzie trwał dotąd, dopóki nie zwietrzeje. (!!!)

Listę nagrodzonych osób podamy w Nr. 12.

RZECZY POWAŻNE

Herlainy poszły w las...

Polowanie z naganką się rozpoczęło. Ożywiły się nadzieje, iż da się młoda zwierzynę wypłoszyć wreszcie z pięknego lasu (nie mam tu na myśli Szenwalda), nastraszyć i położyć ją trupem. Dogorywająca nad Skamandrem Troja chce się zerwać raz jeszcze rozpaczliwie i rozgromić dokuczliwych Achillesów jadących galopem na, mimo wszystko mocno zbudowanej, Kwadrydze. Zabrzmięło podjęte hasło: „Do kontrataku!”. Roli Helto- -ra podjął się Herlaine. Sam jeden stanął mężnie oko w oko. Bogowie bowiem pozostali w cieniu. Jest to jednakże również pewien system walki. Grube ryby ze lśniących fał Skamandra udają, że ich ataki najmłodszych nie a nie nie obchodzą i wcale a wcale nie boją. Wobec wszelkich nieprzy- -zwoitych wypadów, tuż poezji zachowują wiel- -kopafską dumę i na twarzy grymas znudzenia. Iwaszkiewicz znajduje się jak przystało na ary- -stokratę. Nic nie dostrzega. Inni także. Ale, że w gruncie rzeczy to wszystko jest przykre i nie można zostawić tego tak bez odpowiedzi, więc się wyszperało godnego gladiatora. Herlaine będzie mścicielem! Ano, trudno. Zdarzają się i takie rzeczy. Nie będę się zastanawiał nad merytorycznym rozpatrywaniem herlainowskich „słopiewni” o Kwa- -drydze w Kurjerze Porannym. To należy do niej samej. Interesuje mnie jednak formalna strona tej afery. Skamander nie nadarmo dał nam tyle wier- -szy o nieznanym żołnierzu. W praktyce, do bo- -ju wysłał właśnie nie swoich największych, ale skromnego nieznanego żołnierza.

Tylko niech nikt nie sądzi, że nadszedł już taki zmierzch bogów, że ich samych już nie stać nawet na odpowiedź. Przeciwnie — bogowie łakną krwi. Przecież Słonimski wyrwie się czasem w kro- -nice tygodniowej ze skargą jęklową. Zawsze jednak bez adresu, zawsze bardzo ogólnie. „Pewien mło- -dzień”, „czytelniczy” — oto strona przeciwna, z jaką się bohatersko twórca „Mętnych łbów” roz- -prawia. Wyraźnie nie można. Nomina sunt odiosa. Nie wypadła. Grupa Skamandra zawsze przecież zwracała uwagę na dobre wychowanie. Ba! dała nam nawet arbitra elegantiarum w literaturze. P. Jarosław, trzeba przyznać tą rolę się przejął i pełni ją z godną zadrości pewnością siebie.

Jedynym wyjątkiem w metodzie walki czy też nominofobji Słonimskiego było niedawno wymo- -wienie przez niego nazwiska Bibrowskiego. Autor Kroniki zrobił go starszym od... H. G. Wellsa. By- -ło mu to potrzebne, bo to także jest pewna me- -toda. Nawet nie trudna. Bierze się z jednej stro- -ny autora genialnego, z drugiej młodego, choć zdol- -nego poetę i ma się pretensję, że ten pierwszy jest lepszy. A co by tak p. Słonimski powiedział, gdy- -by ktoś napisał np. tak: „Jeśli młodością jest roz- -pęd twórczy i śmiałość myślenia, to Conrad jest młodszy od Słonimskiego, choć obaj odbywali dro- -gi na wschód i bywali pod zwrotnikami, a Ham- -sun jest młodszy od Iwaszkiewicza”. Któż temu może zaprzeczyć? Takie więc stawianie kwestji jest bronią obosieczną. Jeżeli zaś taką właśnie bro- -nią chcą rycerze wiecznie młodzi bronić swych wróbbi na dachu, to może jest istotnie dla nich lepiej, żeby dalej nas nie dostrzegali i milczeli nie- -laskawie. Myśmy się już do takich metod przy- -zwyczaili. Np. Wiadomości Literackie tak się wi- -docznie oburzyły na fakt powstania Głosu Lite- -rackiego, że na niebacznie wysłały im 2 czy 3 nu- -mery pisma nie raczyły przysłać egzemplarzy wy- -miennych. Kiedyś oburzał się p. Grydzewski na podobne metody „Świata” w odniesieniu do Wiado- -mości Literackich, że jednak tempora mutantur a on „nie jest krową”, więc zmienił widocznie po- -glądy. Ale trudno — Głos Literacki, choć nie wy- -daje Pologne Litteraire i nie pompuje M. S. Z., nie zbankrutuje, choćby mu przyszło raz na ty- -dzień 80 gr. rzucić w błoto.

Jerzy Jodłowski.

J A N ZEGRZE

SZWAJCARNKIE
: ZEGARKI :
: BIŻUTERJE :
SREBRO I PLATERY
NA DOGODNYCH
WARUNKACH

WARSZAWA
N. ŚWIAT 30
TEL: — 9-56

NOWE KSIĄŻKI

Stefan Grabiński. „Klasztor i Morze”. Powieść. Legenda przyszłych dni. Nakładem księgarni F. Hoessicka. Warszawa 1928. Omówimy ją w naj- -bliższym numerze.

Władysław Sikorski, generał Dywizji. „Nad Wisłą i Wkrą”. Studium z Polsko-Rosyjskiej Woj- -ny 1920 roku. Wyd. Zakł. Narod. Im Ossolińskich. Lwów 1928 r.

Przyczynę do historjografji wojennej. Po książce „Rok 1920” marszałka Piłsudskiego — dzie- -ło to przechodzi do cennych zabytków wiedzy stra- -tegicznej jako nieodłączna część prawdy wielkiego zwycięstwa w ostatniej wichurze wojennej. Analiza przeprowadzona tu miarowo, z dużą dozą samo- -krytycyzmu — oddaje w pierwszym rzędzie nieo- -cienione usługi zinnemu rozsądkowi, z jakim Na- -czelny Wódz wystąpił w okresie zagrożonego bytu państwowego. Książka nawiązana do dzieła mar- -szałka Piłsudskiego, nosi charakter beznamiętnej i szczerzej dyskusji.

Adam Szczerbowski. „Kwiat na mogile”. Poe- -zje. Dom Książki Polskiej. Warszawa.

Tadeusz Horzelski i Marjan Wróbel. „Kwa- -draty błękitne”. Wiersze. Księg. J. Lisowskiej. Warszawa 1928.

Janina Brzostowska. „O ziemi i mej miłości” i „Erotyki”. Wydawnictwo „Czartaka”. Kraków.

O NIEGRZECZNYM TYGODNIKU I NIETWÓRCZEJ „TWÓRCZOŚCI”

Mamy przed sobą Nr. 11—12 Ilustrowanego Expressu Tygodniowego z dnia 1-go maja 1928 r. Jest w nim wzmianka Pana Z. W. o Albrechcie Dürerze, w 400-letnią rocznicę śmierci wielkiego malarza. Szan. Pan Z. W., „poświęcając” „swoje” uwagi temu znakomitemu talentowi, był najwidocz- -niej tak zacytowany w artykule naszym o Albrech- -cie Dürerze („Głos Liter.” Nr. 7 z dnia 1-go kwiet- -nia b. r.), że stracił zupełną granicę między tem, co myślał i chciał napisać, o tem co... dosłownie i bez skrupułów odpisał.

Rozumiemy jednomyślnie, wyrażającą się na- -wet w tak identycznych określeniach formalnych jak t o ma miejsce w tym wypadku u p. Iryona i p. Z. W. — ale, — czy wtedy nie obowiązują już elementarna grzeczność uszanowania pierwowzoru autorskiego, bez szkody dla własnej, a zbyt w tym wypadku naiwnej ambicji?

Jesteśmy tym razem b. grzeczni.

Podobnie przedstawia się fakt drugi. Wychodzi w Warszawie pismo dla młodzieży pod szumną nazwą „Twórczość”. Jest to organ polskich „lumi- -nistów”, poświęcony „sztuce społecznianina przez naród ludzkości”. (!) Chcąc dać dowód, jak się to robi i jak się luminuje, „Twórczość” ogłosiła ar- -tykuł niejakiego p. Aleksandra Sendlikowskiego o książce „Zarzewie” J. Rogali. Otóż wstępny, do- -syć obszerny ustęp tego „artykułu”, omawiający przewrót, dokonany przez wojnę w literaturze, jest najbezcenniejszym przepisem z artykułu Jerzego Toe- -plitza o Ilji Ereuburgu, drukowanego w marcu r. z. w miesięczniku Koła im. St. Witkiewicza p. n. Na Przełęcz. P. Sendlikowski, o którym nam skądinąd wiadomo, iż tego rodzaju metody „zży- -niania” weszły mu już w nałóg, poprzestawiał w myślach artykułu Toeplitza słowa i wyrazy, są- -dząc, iż tem przysłoni luminujący szeroko objaw swojej świadomej nieuczciwości, czy też nieświa- -domej głupoty. Niestety, w imię „sztuki społecz- -niania przez naród ludzkości”, demaskujemy to bezceremonjalne przywłaszczenie.

NADESŁANE

— Literaturno-Naukowy Wistnyk. Zeszyt IV i V. Lwów.

DOM TOWAROWY
: DEUGA 50 :
TEL. — 126-44

Na Raty

MATERJE KUR SUKNA
JEDWABIE CAN OBUIE

NAJTAŃSZE
: Ż R Ó D Ł O :
U B I O R Ó W

Na Raty

NA MARGINESIE

— Wiersz Niny Rydzewskiej „Madonna Nę- -dzarzy”, słynny z powodu rozgłosu, jaki wywołał, ostatnio uznany drogą plebiscytu jako najlepszy wiersz „Głosu Literackiego”, został przełożony na jęz. niemiecki przez Josefa Heinza Mischela (tłu- -macza „Lauru Olimpijskiego” Kaz. Wierzyńskiego) i ukazał się w numerze kwietniowym czasopisma „Die Neue Bücherschau”.

— Dn. 19 maja zmarła Bronisława Ostrowska (Edma Mierz), jedna z najbardziej utalentowanych poetek okresu Młodej Polski, autorka szeregu to- -mów poezji, wartościowych tłumaczeń liryki obcej i wysokiej miary artystycznej utworów dla dzieci.

— Dn. 23 maja odbył się w sali Rady miej- -skiej wieczór poetów Kwadrygi, urządzony na rzecz komitetu budowy pomnika pułk. Lisa-Kuli.

— Marcel Bouteron, „papierze balzakistów” przybywszy do Warszawy, wygłosił wspólnie z Boyem szereg odczytów na tematy związane z Balzakiem.

— Dn. 20 maja przybył do Warszawy Franci- -szek Vondracek, zasłużony tłumacz kilkudziesię- -ciu utworów polskich na jęz. czeski i niestrudzony działacz na polu zbliżenia polsko-czeskiego.

— Dn. 4-go czerwca r. b. wyjeżdża z Kowna do Warszawy prof. Herbaczewski w celu wygło- -szenia w Warszawie odczytu o życiu kulturalnem Litwy i o literaturze litewskiej.

— Na uniwersytecie rzymskim utworzono sta- -łą katedrę literatury polskiej, którą objął prof. Jan Maver, wybitny sławista, autor szeregu studjów i artykułów krytycznych z zakresu liter. polskiej.

— Pen-Klub polski wystąpił z propozycją przedłożenia Lidze Narodów — wniosku w spra- -wie ufundowania wielkiej międzynarodowej na- -grody literackiej, niemniej wysokiej od nagrody Nobla, i posiadającej specjalny regulamin.

— Wacław Berent został powołany na członka honorowego Pol. Kl. Literackiego, na miejsce s. p. Stanisława Przybyszewskiego.

— Henryk Zbierzchowski, poeta, dramaturg i humorysta, obchodził dn. 5-go maja 30-lecie pra- -cy literackiej.

— Juliusz Kaden Bandrowski otrzymał Krzyż Komandorski orderu Polonia Restituta z okazji święta 3-go maja.

— W przekładzie niemieckim ukazały się trzy nowele Goetla p. t. „Flüchtling aus Taschkent”, oraz Ossendowskiego „Stattenbilder aus dem neuen Russland”.

— Ukazały się w przekładzie serbskim dwie nowe rzeczy: „Raz w życiu” Perzyńskiego i „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów” Ossendowskiego. Ta ostatnia książka wyszła również w przekładzie por- -tugalskim.

— Wiersze Lechonia ze „Srebrne i czarne” przekłada na rosyjski Konstanty Balmont.

— Dn. 13 maja została otwarta w Budapeszcie wystawa malarstwa polskiego.

— W „Comœdia” czytamy wynurzenia Fran- -coisa de Croisset o pisanej wspólnie z de Flersem i z powodu jego śmierci, niedokończonych komedji satyrycznej o Lidze Narodów p. t. Les précieux de Genève.

— Rząd Sowiecki przystępuje do wyprzedaży zagranicę na wielką skalę przedmiotów sztuki i za- -bytków muzealnych.

— Polski Klub Literacki przystępuje do rea- -lizacji sprawy zakupu domu na Starem Mieście, łącznie ze Związkiem Zawodowym Literatów. Dom miałby być przebudowany na siedzibę Polskiego Klubu Literackiego i Związku zawodowego litera- -tów, ewentualnie, w połączeniu z sąsiednim domem, będącym własnością Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, w razie zgody tegoż, miałby pow- -stać Dom Literatury, posiadający własną czytelnie, sale odczytowe etc.

— Do zarządu Pol. Klubu Literackiego na wal- -nem zebraniu w dn. 16. maja wybrani zostali Emil Breiter, Piotr Chojnowski, Juliusz Kaden-Bandrow- -ski, Wacław Grubiński, Zdzisław Kleszczyński, J. Lechoń, A. Strug, Kazimierz Wierzyński i J. Wo- -łoszynowski.

KORESPONDENCJA

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

— Zd. Kwiec. — Lwów. — Słabe. Nie wydu- -kujemy.

— Art. Laut. — Lwów. — Świetnie. Prosimy o dalszy transport nowel, a może i artykułów. Cze- -kamy.

— Jan Wikt. — Kraków. — Numer wysła- -liśmy. O książkę Maliszewskiego prosimy się zwró- -cić wprost do autora: Warszawa, Gesia 49, wzglę- -dnie do Słobodnika, Warszawa, Leszno 62. Prenu- -meratę obniżamy.

— A. T. Storm. — Lwów. — Odpowiemy li- -stownie.

— W. Paj. — Piotrków. — Dziękujemy za tak serdeczne słowa uznania.

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką do wszystkich miejscowości Polski mies. 1.50 zł.; kwart 4.50 zł. — Zagranicą kwart. 2 dol. ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: UL. MŁYNARSKA 43, II-e piętro OGŁOSZENIA: 1 mm szerokości 1 szpalty (tam 4-o szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50% drożej.

Red. J. PODHALICZ.

Konto czekowe P. K. O. 16380.